

# Filtr nie tylko na plażę

Ku radości miłośników lata słonecznych dni mamy ostatnio coraz więcej. Robi się gorąco, a co za tym idzie, chętniej spędzamy czas na dworze i nosimy więcej odsłaniające ubrania. Zewsząd dookoła słyszymy o filtrach przeciwsłonecznych, ale kiedy ich używać i jaki wybrać?

## Przed czym się chronimy?

Zacząć należy od tego, że promieniowanie słoneczne dzieli się na kilka kategorii. Po pierwsze i najbardziej rozpoznawalne promieniowanie ultrafioletowe. Dzieli się ono na UVB i UVA (to z kolei dzieli się jeszcze na A1 i A2, co służy rozdzieleniu kremów ochronnych). Kolejno jest też światło widzialne i promieniowanie podczerwone. Promieniowanie ultrafioletowe stanowi około 5% całego promieniowania, które dociera do naszych organizmów. Od niedawna mówi się też o ochronie przed światłem niebieskim (high-energy visible light HEV light), które emitują ekrany komputerów i smartfonów, przez co mamy z nim stały kontakt.

## O co chodzi z SPF?

SPF pokazuje jaką ochronę daje nam kosmetyk przed promieniowaniem UVB (tylko przed nim). Jest to promieniowanie, które najbardziej odczuwamy na skórze, bo daje ciepło, opaleniznę i poparzenia. SPF wskazuje o ile więcej promieniowania UVB potrzeba, by wywołać na skórze rumień w stosunku do skóry, która nie jest chroniona przed promieniowaniem przez krem z filtrem. SPF nie oznacza więc, o ile dłużej można być na słońcu. Chodzi o dawkę promieniowania, a nie czas.

## Co z UVA?

UVA oddziałuje na nas cały rok, przez co jest bardziej problematyczne. Przechodzi przez chmury i szyby. Nawet jeśli go nie widać bezpośrednio w postaci ostrego słońca, to działa na nasz organizm i przenika do skóry właściwej. Przez to jest odpowiedzialny



Największą ochronę zapewni krem z filtrem SPF 50+

ne za starzenie skóry i alergię. Najczęściej oznacza się je jako PPD lub plusy na opakowaniach kremów. Ważne, by wybierając krem upewnić się, że ma ochronę zarówno przed UVB (SPF), jak i UVA (PPD).

## Mineralny lub organiczny

Są trzy rodzaje filtrów. Pierwsze to mineralne, czyli tlenek cynku (zinc oxide) i dwutlenek tytanu (titanium dioxide). Dzięki temu, że są tylko dwa, łatwo je rozpoznać. Odbijają one promieniowanie słoneczne od powierzchni skóry, nie wchodzi z nią w reakcje i w mniejszym stopniu przenikają do organizmu. Ich wadą jest to, że są ciężkie i mocno bielą, co utrudnia ich używanie. Drugi rodzaj to filtry organiczne (chemiczne). Wchodzi w reakcję z górnymi warstwami skóry i pochłaniają promieniowanie słoneczne, przekształcając je w ciepło. Najpopularniejsze i bezpieczne to tinosorb S, tinosorb M, mexoryl SX, mexoryl

XL i uvinul A plus. Ostatnim rodzajem filtrów są mieszane. Oznacza to, że dany kosmetyk zawiera zarówno filtry mineralne, jak i organiczne. Nie wszystkie filtry chronią tak samo. Niektóre chronią tylko przed promieniowaniem UVB, inne tylko przed UVA. Są też chroniące przed wszystkimi rodzajami promieniowania. Ważne, żeby w wybranym kosmetyku znalazły się filtry, które razem będą chroniły przed UVA1, UVA2 i UVB.

## Po co i jak ich używać?

Kremy z filtrem są najlepszą ochroną przed zmarszczkami i zmianami skórnymi, przebarwieniami i poparzeniami. W założeniu powinno się je stosować codziennie. Przede wszystkim dlatego, że nawet jeśli nie czujemy intensywnego słońca, to i tak dociera do nas promieniowanie UVA oraz światło niebieskie. Podczas jesieni i zimy rolę kremu z filtrem może spełniać dobry podkład lub krem BB z SPF. Jednak

wiosną i latem to nie wystarczy. Wychodząc z domu i spędzając czas na słońcu, krem z filtrem powinien być obowiązkowym elementem pielęgnacji. Filtry należy reaplikować co dwie godziny lub po wyjściu z wody. Jeśli jednak nie masz takich możliwości, nakładaj go tylko rano. Lepiej mieć jakikolwiek filtr niż żaden. Filtr na twarz nakłada się po pielęgnacji i trzeba dać mu czas na wchłonięcie przed nakładaniem makijażu (ok. 10 min).

W ostatnim czasie zauważalna jest zmiana kierunku, w jakim zmierzają konsumenci kosmetyków, szczególnie tych z filtrami przeciwsłonecznymi. Jest to ściśle związane z ekologią i dbaniem o środowisko oceaniczne, między innymi o rafy koralowe. Niektóre kraje z tego powodu zabroniły stosowania szkodliwych filtrów organicznych, na przykład wyspiarskie Palau oraz Hawaje.

**Katarzyna DRZEWIECKA**  
katdrz4@st.amu.edu.pl



Rozmowa  
z pierwszym  
naczelnym BUC-a  
– prof. Osiewiczem  
s. 3.

## Polecamy



O twórcy marki YSL  
s. 5.



Bob Dylan ma już  
80 lat! s. 8.



Wszystkie drogi pro-  
wadzą do szpitala.  
„New Amsterdam”  
s. 8.



## Od redakcji

Kochani Czytelnicy!

Na zakończenie roku akademickiego przygotowaliśmy dla Was dwie niespodzianki. Jedną to nowa strona internetowa, którą już niebawem będziecie mogli odwiedzić pod adresem [buc.amu.edu.pl](http://buc.amu.edu.pl). Śledźcie nasze social media. Drugą znajdziecie w najnowszym numerze – wywiad z pierwszym redaktorem naczelnym BUC-a, prof. Przemysławem Osiewiczem. W tym roku nasze czasopismo świętuje 20. urodziny, dlatego postanowiliśmy cofnąć się do jego początków.

Pragniemy życzyć Wam powodzenia w nadchodzącej sesji. Jednak zanim ona, konieczne zajrzyjcie do nowego wydania. Kasia przygotowała mini poradnik, jak skutecznie chronić się przed promieniowaniem UV. Klaudia opisała funkcjonowanie sądów w czasie pandemii. Adam napisał o malarzu Nikiforze Krynickim, a Karolina o twórcy marki YSL, a także przygotowała recenzję książki – „Ktokolwiek widział”. Przeczytajcie też dwa opowiadania – Krzyśka oraz Mileny. Na ostatniej stronie czeka na Was tekst o serialu „New Amsterdam” przygotowany przez Emilię oraz o Bobie Dylanie, który napisał Bartek.

Już w październiku wrócimy do Was z nową energią i pomysłami na nowe teksty, jednak nie wykluczamy wakacyjnych artykułów w elektronicznym wydaniu.

Chciałabym podziękować wszystkim BUC-owym redaktorom za ich tegoroczną pracę, a szczególnie tym, którzy kończą studia i żegnają się z redakcją. Na zawsze pozostaniecie w naszych sercach i mam nadzieję, że BUC nie zniknie z waszych.

Tymczasem życzę przyjemnej lektury!

Redaktor naczelna  
Sylvia Rycharska



Zmiany w sądownictwie mają zapewnić bezpieczeństwo i ułatwić funkcjonowanie podczas pandemii.

Niewątpliwie pandemia zmieniła nasze życie. Musieliśmy dostosować się do nowej rzeczywistości zmieniając swoją codzienność. W związku z tym, że dostrzegamy te zmiany, musieliśmy zmienić funkcjonowanie firm, sklepów, szkół, uniwersytetów czy instytucji. Zmiany te nie ominęły również sądownictwa.

### Pierwsza reakcja

Na początku pandemii funkcjonowanie sądów zostało ograniczone głównie przez zamknięcie biur podawczych. Umożliwiono jednak składanie pism drogą listowną bądź poprzez wrzucenie pisma do tymczasowych skrzynek podawczych. Ochrona budynku każdemu przybywającemu mierzyła temperaturę oraz informowała, iż nie można przemieszczać się po całym budynku, a jedynie po kondygnacji na której dana osoba oczekuje na rozprawę. Obowiązkiem stała się również dezynfekcja rąk. W zależności od decyzji kierownictwa poszczególnych wydziałów czy oddziałów, urzędnicy przeszli na pracę dwuzmianową lub hybrydową. Rozprawy były odwoływane lub wprowadzono limit osób mogących wziąć udział w posiedzeniu. Każdego obowiązywało noszenie maseczek w celu powstrzymania rozprzestrzeniania się wirusa.

### Obecne realia

Prawdę mówiąc, od tego czasu, czyli właściwie rok później niewiele się zmieniło. Z jednym wyjątkiem. Obecnie trwają przygotowania do przeprowadzania rozpraw zdalnie. O tym w jaki sposób miałyby zostać przeprowadzone rozprawy czy posiedzenia decydować będzie przewodniczący. Uczestnicy będą mogli łączyć się z dowolnego miejsca. Kamera i głośnik powinny być włączone. Wcześniej zainteresowane osoby otrzymują link, żeby spraw-

## Sądy w nowej, pandemicznej rzeczywistości

dzić, czy mogą się połączyć, oraz wszelkie niezbędne wskazówki. Dlatego należy pamiętać o podaniu sądowi adresu e-mail. Oczywiście w przypadku braku adresu e-mail w aktach sąd wezwie taką osobę do jego uzupełnienia. Osoby nie posiadające odpowiedniego sprzętu będą miały zapewnioną pomoc ze strony sądu. Posiedzenia przeprowadzane mają być np. przy pomocy aplikacji JITSY. Obecność jest obowiązkowa, a niestawiennictwo może być wyegzekwowane nałożeniem grzywny.

### Wygląd zdalnych rozpraw

Tak jak dotychczas, początkowo sędzia będzie sprawdzał obecność. Po tym świadkowie (jeśli będą obecni) zostaną poproszeni o rozłączenie się i ponowne połączenie na czas składania zeznań. Dobrym rozwiązaniem byłaby funkcja o charakterze tzw. poczekalni, w której będą mogli poczekać do czasu gdy nie zostaną wywołani. Co z okazywaniem pism? Pokazane na kamerze mogą być słabo widoczne, dlatego najlepiej będzie udostępnić je za pomocą opcji 'udostępnij ekran' lub wcześniej dostarczyć sądowi, aby ten mógł zapoznać się z ich treścią. Rozprawa zdalna to nadal rozprawa sądowa i jej uczestnicy zobowiązani są zachowywać się tak, jakby byli w sądzie, czyli na przykład odpowiednio się ubrać i zachowywać. Kwestią sporną może być obowiązek wstawiania kiedy zwracamy się do sądu. Przewodniczący powinien odpowiednio poinformować czy należy to robić czy nie. A może w tej sy-

tacji świadkowie by zeznawali na piśmie? Sąd raczej poddaje w wątpliwość wiarygodność tej formy zeznań. Choć, jeżeli sąd tak postanowi, to będzie ona możliwa. Jeżeli chodzi o rozprawy medialne, to prawdopodobnie dziennikarze będą mogli uczestniczyć na takiej samej zasadzie jak publiczność, czyli po uprzednim zgłoszeniu zamiaru udziału w rozprawie.

Zdarzają się niewielkie opóźnienia w sądach. Cała ta sytuacja jednak może trochę te opóźnienia wydłużyć. Rozprawy on-line będą dla wszystkich nowością. Protokolanci sądowi wkrótce będą sukcesywnie szkoleni do przygotowania zdalnych rozpraw. Zdalne rozprawy mogą generować wiele dodatkowych problemów, chociażby z połączeniem się. Dodatkowo przysporzy pracownikom sądów więcej pracy, której i tak mają bardzo dużo. Czy taki tryb przeprowadzania rozpraw się sprawdzi? Wszystko zapewne zależy od odpowiedniego przygotowania i przeszkolenia. Czasem to jednak nie wystarczy, ponieważ mimo tego, że sąd będzie przygotowany, nie ma gwarancji, że inni uczestnicy również będą, mimo iż na stronie sądów są zamieszczone instrukcje jak należy łączyć się na tego typu rozprawę. Zastanawiającym jest też jak wielu sędziów będzie decydować się na takie przeprowadzenie rozprawy. Należy cierpliwie czekać na wprowadzenie tych zmian i wtedy je ocenić.

Klaudia MICHALAK  
[klamic11@st.amu.edu.pl](mailto:klamic11@st.amu.edu.pl)



### Redaktor miesiąca

Cześć! Jestem Kasia Drzewiecka i w redakcji piszę dla działu lifestyle. Interesuje się wieloma dziedzinami, ale najbardziej kręca mnie podróże, kryminały i komunikacja społeczna.



**Wydawca**  
Wydział nauk Politycznych i Dziennikarstwa  
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza  
w Poznaniu  
ISSN 1642-1140  
**Redakcja**  
Wydział Nauk Politycznych  
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,  
pokoje 144, 61-614 Poznań  
e-mail: [teksty.buc@gmail.com](mailto:teksty.buc@gmail.com)

**Redaktor naczelny**  
Sylvia Rycharska  
**Zastępca redaktora naczelnego**  
Krzysztof Polasik  
**Sekretarz redakcji**  
Wiktoria Wesolek  
**Numer makietał**  
Krzysztof Polasik

**Wydawca numeru**  
Krzysztof Polasik,  
Sylvia Rycharska  
**Redakcja merytoryczna:**  
Justyna Furmaniak, Wiktor Pohorecki, Krzysztof Polasik, Sylvia Rycharska  
**PR i Social Media**  
Aleksandra Kłosowska,  
Milena Mrozek, Emilia

Szkobodzińska, Wiktoria  
Wesolek  
**Redakcja**  
Anna Arabasz  
Daria Bajorek  
Darya Burdyka  
Anastazja Burnel  
Maria Chenczke  
Adam Chęciński  
Zuzanna Czachorek  
Julia Czekalska

Katarzyna Drzewiecka  
Justyna Furmaniak  
Julia Gawłowska  
Paweł Gluszyński  
Marta Godurkiewicz  
Marika Grzech  
Ada Grzeszyk  
Milena Guzik  
Darya Haurosh  
Bartosz Kabaciński  
Julia Kaczmarek

Wiktor Kępiński  
Aleksandra Kłosowska  
Karolina Konys  
Filip Kopera  
Karolina Kozłowska  
Hanna Kułak  
Kamil Kwiatkowski  
Kacper Lewandowski  
Kuba Lipnicki  
Maria Lutkowska  
Natalia Łaszewska

Klaudia Michalak  
Olga Michalska  
Stanisław Mrowicki  
Milena Mrozek  
Marcin Ostrowski  
Wiktor Pohorecki  
Krzysztof Polasik  
Florentyna Rybczyńska  
Sylvia Rycharska  
Olga Rydzewska  
Wiktoria Różak

Michał Rzeźnik  
Karolina Sieradzan  
Ilona Skrzypczak  
Emilia Szkobodzińska  
Karolina Szymczak  
Izabela Tomaszewska  
Kacper Tyczewski  
Wiktoria Wesolek  
Eryk Więsyk  
Adrian Wojtasz  
Martyna Woźniak

**Fotoedytor**  
Martyna Woźniak  
**Autor logo**  
Andrzej Szymczak  
**Opieka nad redakcją**  
Red. Lesław Ciesiołka  
**Skład komputerowy**  
Tomasz Szukala



Kto by pomyślał, że nasza gazeta ma już 20 lat! Bardzo Uniwersyteckie Czasopismo ma tyle lat na karku, ale nadal dobrze się trzyma. Jesteśmy wspianą redakcją, którą łączy wspólna pasja do pisania. Dzisiaj możemy się realizować, ponieważ ktoś wyszedł z inicjatywą skierowaną do studentów chcących dzielić się swoim spojrzeniem na świat z innymi. Dzisiaj przychodzimy do Was z rozmową z pierwszym naczelnym BUC-a, który obecnie jest jednym z ulubionych wykładowców naszych studentów – Profesorem Przemysławem Osiewiczem.

**Martyna Woźniak: W tym roku nasze czasopismo obchodziło 20-lecie istnienia. Pan Profesor był pierwszym naczelnym BUC-a. Jak w ogóle doszło do tego, że powstało Bardzo Uniwersyteckie Czasopismo?**

Profesor Przemysław Osiewicz: To była bardzo ciekawa historia. W tamtym okresie, jeśli dobrze pamiętam nie było ani żadnej gazety, ani miesięcznika. Nic nie wychodziło, a to w końcu był Instytut Nauk Politycznych i Dziennikarstwa. Z tym pomysłem wyszedł doskonale wszystkim znany, jeszcze wtedy wicedyrektor, a obecnie prorektor Tadeusz Wallas, który zgłosił ten pomysł do Koła Naukowego Politykologów i Dziennikarzy. Wtedy prezeską koła była doskonale Wam znana Pani doktor Joanna Skrzypczyńska, a ja miałem zaszczyt być wiceprezesem Koła. Ustaliliśmy wtedy, że zrobimy odwrotnie w przypadku BUC-a. Tak właśnie zostałem pierwszym naczelnym, a zastępowała mnie Pani doktor Skrzypczyńska. Spotkania były w jeszcze istniejącej siedzibie Gazety Poznańskiej. Tam nauczyliśmy się np. jak składać gazetę. Dla nas wszystkich to było nowe doświadczenie.

**A skąd pomysł u Pana, żeby pisać do gazety?**

Co prawda nie studiowałem dziennikarstwa – nie było wtedy jeszcze kierunków – byłem na specjalności stosunki międzynarodowe, ale wcześniej miałem doświadczenie i pracowałem w czasopiśmie młodzieżowym „Przeciąg”. Tam miałem przyjemność pracować pod okiem Pana Jacka Niedzielskiego. Bardzo sympatyczna i zasłużona postać dla Poznania. Tam właśnie zbierałem pierwsze szlify, uczyłem się pisać, poznałem „od kuchni”, co to znaczy publikować nawet krótki tekst i że nie jest łatwo złożyć, nawet dzisiaj z dobrym oprogramowaniem. Także w „Przeciagu” zaczynałem i tam przeszedłem wszystkie stopnie. Począwszy od takiego dziennikarza licealnego po redaktora naczelnego. Takie mieliśmy zasady, że współpracowaliśmy z „Przeciagiem” do matury, a osobom, które kończyły szkołę średnią i szły na studia, dziękowano, jako seniorkom i seniorom, za współpracę. Byliśmy już potem razem tylko na zasadzie towarzyskiej. „Przeciąg” pełnił wtedy jeszcze rolę klubu młodzieżowego, gdzie mogliśmy spędzać czas razem. Fajne czasy. Swoją drogą nie wiem, czy „Przeciąg” jeszcze istnieje. Jeszcze jakiś czas temu istniał.

**O czym był pierwszy numer? Pamięta Pan? Oczywiście nie chodzi mi o podanie dokładnie tytułów tekstów, ale czy obecna tematyka nie odbiega od pierwotnego założenia?**

Idea była taka, żeby pojawiały się teksty dotyczące spraw ogólnych. Mogły być też komentarze polityczne, ale przede wszystkim odnośnie do wydarzeń sportowych, wyjazdów tu-

# Mamy już 20 lat!

## Rozmowa z prof. Przemysławem Osiewiczem

### – pierwszym redaktorem naczelnym BUC-a



nym momencie było więcej tekstów niż miejsc w numerze. Było wtedy 8 stron. BUC był dla mnie dobrą szkołą umiejętności samoorganizacji też pod kątem pracy naukowej i pisania tekstów naukowych. Oczywiście to dwa różne światy i zupełnie inne teksty, jednak sposób myślenia, planowania w czasie w odniesieniu do deadline'ów, to bardzo podobny system.

**Co by Pan poradził naszym studentom chcącym stawiać swoje pierwsze kroki dziennikarskie właśnie w gazecie studenckiej?**

Myszę, że każda studentka i każdy student, którzy czują, że chcieliby spróbować, na pewno nie powinni się bać tylko chwytać byka za rogi. Warto spróbować. Na pewno dobrze jest jak się ma zainteresowania. Niekoniecznie naukowe i strictly związane z działalnością wydziału. Każdy ma, jak to się teraz mówi, jakieś zajawki i wtedy jest mu łatwiej. Dopiero po sprawdzeniu w boju można ocenić, czy to jest coś dla mnie, czy też nie. Dla części studentek i studentów może to być odnalezienie własnej drogi. Sam znam co najmniej kilka takich osób, które nie planowały pewnie związania swojej kariery z szeroko pojętym dziennikarstwem, u mnie na roku były takie osoby, chociażby redaktor Zbigniew Parafianowicz dosyć znany w Polsce, a był moim kolegą z roku. Nie przypominam sobie, żeby Zbyszek miał kiedykolwiek takie plany w pracy dziennikarskiej. Ale tak się stało, że pisał i został zawodowym dziennikarzem. Na pewno warto próbować i jest to ciekawe doświadczenie, nawet jeśli ktoś nie będzie pracował w zawodzie, to i tak bym zachęcał. Zwłaszcza, że większość z Państwa pewnie będzie pracować w prywatnych firmach, różnych korporacjach. Umiejętność pisania, tworzenia tekstów bardzo się przydadzą. Może część z Państwa będzie copywriterami, co jest nadal bardzo dochodowym zajęciem. Takie doświadczenie też przekłada się na praktyczne umiejętności, które na pewno będą procentować w Waszym życiu zawodowym. Już nie mówiąc o samej przyjemności spędzania czasu z innymi rówieśnikami, bo to też dla mnie była fajna motywacja. Dzięki temu poznałem więcej osób. Było miło i sympatycznie po prostu. Można było fajnie po studencku spędzić ten czas. Nie tylko pracując i rozmawiając o BUC-u, ale też człowiek dowiadywał się wielu rzeczy o życiu albo o tym co na wydziale, o prowadzących inne przedmioty. Taka giełda informacji działała.

**Generalnie wszystko, co robimy na studiach, czy to wcześniej czy później, zawsze nam się gdzieś w życiu przyda i warto próbować.**

Jasne, będąc na studiach i później na doktoranckich, robiłem naprawdę dużo rzeczy. Od liceum do powiedzmy końca studiów robiłem wiele rzeczy i myślę, że to wszystko zaowocowało. Dzisiaj jestem bardzo zadowolony ze swojej pracy i bardzo ją lubię. Nie wiem, czy mógłbym robić co innego. Były to ciekawe doświadczenia, które sprawiają, że czuję się pewnie, robiąc czasami pewne rzeczy poza uczelnią i nie mające związku z nauką.

**Bardzo dziękuję za rozmowę i poświęcony czas.**

Martyna WOŹNIAK  
marwoz11@st.amu.edu.pl

rystycznych, jakieś krajoznawcze, rysunki satyryczne itd. Nie było jakiegos sztywnego założenia, że wszystkie teksty muszą dotyczyć spraw wydziałowych, ale oczywiście, jeśli dobrze pamiętam, około połowa zawsze dotyczyła konferencji albo były rozmowy z jakimiś ciekawymi ludźmi, czyli naszymi prowadzącymi. Taka była formuła, jak coś się ciekawego działo na wydziale...

**Teraz niestety trochę ciężko o to...**

Teraz nie się nie dzieje w formie kontaktowej i domyślam się, że macie ciężko. Pewnie też forma dystrybucji w wersji papierowej jest niemożliwa, no bo prawie nikogo nie ma na wydziale.

**Jedynie w PDF wychodzą obecnie numery i teksty są publikowane na naszej stronie. Właśnie, a zdarza się Panu Profesorowi śledzić aktualne numery BUC-a?**

Tak, oczywiście. Jeszcze nigdy nie byłem w Waszej siedzibie. Ale jestem bardzo zadowolony, że redakcja ma takie swoje „miejsce na ziemi” w budynku nowego wydziału. My mieliśmy z tym ogromny problem na Szamarzewie. Mogliśmy korzystać z pomieszczenia dla samorządu studenckiego, ale z niego generalnie korzystała połowa wydziału. Była wojna zawsze o klucz. Zawsze mówiłem, że to były wojny kluczowe – klucz był na miarę złota, żeby móc wejść do tego pomieszczenia i móc coś robić we własnym gronie. To była czasem dosłownie walka. Non stop jakieś rezerwacje i inne cuda. Dla-

tego cieszę się, że BUC się od tamtego czasu rozwinął i ma fizyczną siedzibę na wydziale. Ma też bardzo mocne wsparcie ze strony kolegium dziekańskiego, co jest nie do przecenienia, ponieważ nie na każdym wydziale tak to wygląda. Niekoniecznie wszyscy dziekani tak chętnie wspierają inicjatywy studenckie.

**Czego się Pan nauczył jako naczelny studenckiej gazety?**

Nie jestem teraz dziennikarzem, ale nauczyło mnie to na pewno systematyczności, w pewien sposób też jak ułożyć sobie dobry zespół ludzi do współpracy, co nie jest łatwe. Wtedy pierwszy raz w życiu przekonałem się, co tak naprawdę oznacza praca z innym człowiekiem, i że nie zawsze jest to łatwe. Każdy z nas jest inny. Są osoby, które wyślą tekst w terminie, są osoby, które bardzo dobrze piszą, ale za „Chiny ludowe” nie mogą się zebrać. Trzeba ich wtedy jakoś zachęcić, co jest wyjątkowo trudne, gdy się negocjuje z rówieśnikiem. Jak jest jeszcze taka zależność wykładowca – student, to jakieś formy nacisku można zastosować albo argumenty dodatkowe, a tutaj zrobisz – nie zrobisz. Mam nadzieję, że nie przerzabiacie tego, że ktoś czegoś nie zrobił i trzeba na gwałt szukać coś w zamian. My mieliśmy taką pulę artykułów „zapychaczy”. Były to teksty, które sami napisaliśmy, takie „evergreeny” jak się śmiałyśmy. Jak się nie ukazały w jednym numerze, bo mieliśmy lepsze teksty, to zawsze mieliśmy rezerwę do kolejnego numeru. Nie pamiętam, czy nam się to kiedyś przydało, czy nie, ale taki pomysł był. Jednak w pew-



# atypowy Artysta przez wielkie „A”

Wielu go widziało, niewielu tak naprawdę dostrzegą. Jego postać wtapiała się w pejzaż urokliwego miasteczka. Mimo enigmatycznego imienia większej publiczności wokół siebie nie skupiał. Wręcz przeciwnie, żył trochę jak człowiek-widmo ubrany w wynędzniały garnitur oraz złamane, niedbale sklezione okulary. Jednakże, jemu to nie przeszkadzało. Jeżeli posiadał kartki papieru i farby, nic mu więcej do szczęścia nie było potrzebne.

Co tak właściwie warunkuje kreatywność? Bardziej powinno się zapytać, czym dla każdego z nas jest kreatywność. Jak my ją rozumiemy i postrzegamy? Oczywiście jest, że towarzyszy ludzkości od zarania dziejów, wypełniając nasz umysł coraz to nowszymi wizjami. Jednakże, to nie jest wcale takie proste, umieć ją precyzyjnie zdefiniować. Można powiedzieć, że kreatywność stanowi samodzielne myślenie każdego człowieka. To ona wypełnia naszą wewnętrzną przestrzeń i każdy nasz pojedynczy ruch, będący procesem improwizacji. Wszystko dookoła wymaga kreatywności. Nawet praca, którą w tej chwili piszę, powstaje w sposób kreatywny. I tak właściwie robi to każdy z nas na swój sposób. Są ludzie spełniający kreatywność w sztuce, okazywaniu sobie czułości, w wymyślaniu zajęć i zabaw, pisaniu w pamiętniku, a nawet w najbardziej prozaicznych sytuacjach i rzeczach wypełniających rewiry tego, co dla nas staje się widzialne i słyszalne. No właśnie, przede wszystkim polega ona na badaniu wszelkich niewyznaczonych granic inwencji twórczej. Kreatywność sama przez się budzi pewną niesamowitość i wyjątkowość. Wszyscy ludzie szukają tej niezidentyfikowanej tożsamości poprzez kreatywny sposób myślenia.

Masa najbardziej różnorodnych osobowości obchodzi się z kreatywnością z pomocą wszelkich aspektów sztuki. Chociażby rzeźba lub malarstwo poruszają te struny ludzkich zmysłów, których nie sposób opisać żadną wytłumaczalną metodą. Częstość bujnych wyobrażeń wędruje na szczyty ludzkich możliwości, jak to jest ze zduplikowanymi przypadkami nad wyraz absorbującej estymy, jaką był Epifaniusz Drowniak, czyli Nikifor Krynicki.

## Nieozłifowany krynicki diament

Kroczenie własnymi ścieżkami przez życie nigdy nie wydaje się proste. W szczególności, jeśli jest mowa o artyście, który przez znaczną część własnej egzystencji żył poza nawiasem społeczeństwa, bez żadnych dokumentów. Między willami i uzdrowiskami, którądy biegł główny deptak pełen przechadzających tamtędy turystów, w pełnym skupieniu siedział mały człowiek malujący obrazek na murku, który zwykle był jego skromną pracownią malarską. Wielu go widziało, niewielu tak naprawdę dostrzegą. Jego postać wtapiała się w pejzaż urokliwego miasteczka. Mimo enigmatycznego imienia większej publiczności wokół siebie nie skupiał. Wręcz przeciwnie, żył trochę jak człowiek-widmo ubrany w wynędzniały garnitur oraz złamane, niedbale sklezione okulary. Jednakże, jemu to nie przeszkadzało. Jeżeli posiadał kartki papieru i farby, nic mu więcej do szczęścia nie było potrzebne.

Już od najmłodszych lat życie go nie dopieszczało. Jego matka, Eudokia Drowniak, pochodzenia lemkońskiego, miała się najpodlejszych robót, jakie można tylko sobie było wyobrazić, m.in. dostarczania wody do krynickich schronisk i pensjonatów. Otrzymywała przy tym marne wynagrodzenie. Praca więc stała się największym



Nagroda Akademii Filmowej

priorytetem, przez co nierzadko była zmuszona zostawiać maleństwo bez żadnej opieki. Los ojca Nikifora jest nieznan. Wiadome jest, że był Polakiem nieznanym z nazwiska, prawdopodobnie z zawodu malarzem (kryptonimowanym jako „T”), jakich wielu mieszkało wtedy w willi „Trzy Róże”, największego w tamtym czasie pensjonatu w Krynicy. Głęboka bieda, z jaką musieli się każdego dnia zmagać, stała się niezwykle trudna do zniesienia. Chłopiec rósł, ale miał trudności z nauką i porozumiewaniem się. Nie ukończył szkoły podstawowej, wyniósł z niej jedynie podstawy pisania drukowanymi literami oraz liczenia. Opóźnienie w rozwoju, problem z mową, która bardziej brzmiała jak bełkotanie oraz głuchoniemotą odziedziczył po swojej matce. Osierocony podczas I wojny światowej, nie umiejący porozumieć się z otoczeniem, traktowany był początkowo przez krynicką społeczność jako odmieniec - izolowany fizycznie i psychicznie, wyśmiewany, ostatecznie trafił na bruk. Ze względu na pochodzenie, brak wykształcenia, nietuzinkowy styl życia, Nikifor dla wielu był pariasem świata sztuki. Nawet w rodzinnej Krynicy długo nim pogardzano. Byli i tacy, którzy uważali go za zwykłego żebraka, a na obrazki patrzyli jak na bezwartościowe bazgroły. Ludzie odmawiali mu miana artysty, mówili:

„Co to za malarz? Przecież on pluł na farby”.

Czas jednak pokazał, że Nikifor był jak nieozłifowany diament, który w ostatniej dekadzie

dwustronnie (Chrystus nauczający/Chrystus błogosławiący). Zachowały się listy żebracze, na których w zamian za pomoc finansową oferuje swoje akwarele. Wiele z nich później sprzedał za grosze lub wymienił na jedzenie.

Główny temat jego malowideł to widok miejskiej architektury (Krynica i Kraków), cerkwie, wille i ulice, dworce kolejowe i fantastyczne wizje miast oraz budowli. Dzieła Nikifora zaskakują ogromem detali. Intuicyjnie łączył tradycję polską z lemkońską. Stworzył wyjątkowe autoportrety, na których czasem jest malarzem, czasem kimś zupełnie innym (Nikifor – biskup w pokoju). Stawiał siebie w centrum świata. Portretował w eleganckim stroju. Jakby zaklinał rzeczywistość, z żebraka zamieniał się w gentlemana, budząc tym samym sympatię i szacunek napotkanych ludzi. Na autoportretach prezentował siebie jedynie w młodym wieku. W ten infantylny sposób wymalował sobie alternatywny życiorys, w sztuce podarował sobie wszystko to, czego brakowało mu w realnym życiu.

Artysta malował zgodnie z tym, co podpowiadały mu kreatywność oraz intuicja. Niewypowiedziane słowa zamieniał w pociągnięcia pędzla. Niezachwianie wierzył we własny talent. Od początku jednak przejawiał ogromną wolę dążenia do celu, jaki sobie wyznaczył – być malarzem, być „Matejką z Krynicy”. Czuł się zresztą krynickim patriotą lokalnym – dwukrotnie w ramach akcji „Wisła” wywożony w odległy koniec Polski, z uporem wracał do rodzinnego miasta. Tragiczne przeżycia wykształciły u mistrza nadwrażliwość i lęk, które zwyciężał fantazją.

„On wyzwał się wspaniale z przymusu rzeczywistości i kreował obraz, świat, własną ich strukturę. Opowiadał siebie, malował swój kosmos”. - Edward Dwurnik

W ostatnich miesiącach życia mistrz z Krynicy rysował kredką na przejrzytych bibułkach świętych, których najbardziej potrzebował. Były to obrazy na żalobnym czarnym tle. Należał je na szybach pokoju szpitalnego, w którym leżał i zmarł 10 października 1968 roku. Stara, drewniana gablotka, która przez dziesiątki lat była swoistą wizytówką malarza wisi dzisiaj w jego krynickim muzeum, wśród kolorowych obrazków. Umieszczony wewnątrz list prośbny zawiera wzruszającą i proroczą inwokację artysty: „Obrazki moje na zawsze po mnie zostaną. A są inne od innych, bo są moje własne. Proszę, przyjrzyjcie się im bliżej”.

## Exegi monumentum

Oryginalność zawsze towarzyszy kreatywności, ale trudno wymyślić coś, czego jeszcze nie było, czego nie można sobie wyobrazić. Kultura jest ciągiem zapożyczeń, wpływów, wzajemnych oddziaływań. Tylko wielkim artystom dane jest przekraczać próg nieznanego, otwierać nowe drogi. Udaje się to też ludziom żyjącym w psychicznej izolacji, oderwaniu od kultury. Jerzy Wolff, autor pierwszej publikacji o Nikiforze, niezwykle trafnie określił twórczość krynickiego mistrza w tych słowach:

„Te małe obrazki są proste jak natura, jedyności ich polega wyłącznie na tym, że najzupełniej szczerze zobaczono rzeczywistość innymi niż wszyscy oczyma. [...] W absolutnej wrażliwości Nikifora na barwę, którą porównać można do absolutnego słuchu, przeglądają się [...] nasze własne marzenia malarskie”.

Malarza ceniono za autentyczność, czystość wizji, niezafalszowanie, które paradoksalnie nie zawsze towarzyszy malarzom zwanym „nainnymi”.

Adam CHĘCIŃSKI  
adache1@st.amu.edu.pl

życia został doceniony i zyskał międzynarodową sławę, za sprawą m.in. ekspozycji paryskiej w galerii Diny Vierny w kwietniu 1959 r., która dała początek wielu następnym wystawom malarstwa Nikifora na świecie, oraz wystawa w warszawskiej „Zachęcie” w 1967 roku. Nikifor był artystą, który niewiele mówił, przemówić mogły tylko jego dzieła. W Polskim słowniku biograficznym przeczytamy:

„Ze względu na wyjątkowe wartości artystyczne i estetyczne dzieł Nikifora, uznajemy go za malarza, bez przymiotnika: ludowy, amator, dyletant, zwłaszcza obecnie, gdy wykształcenie artysty i jego biegłość akademicka są bez większego znaczenia”.

## Prymitywista z krwi i kości

Malowidła Nikifora są bardzo charakterystyczne. Ta wyjątkowość sprawia, że trudno pojąć je z twórczością jakiegokolwiek innego malarza ludowego. Co ciekawe, namalował tysiące obrazków i nigdy się nie powtórzył. Nie znajdziemy dwu jego malowideł takich samych, każdy „Nikifor” jest inny. Malował najczęściej akwarelami, niekiedy temperą, farbami olejnymi, a pod koniec życia kredkami. Co chwilę ślił pędzelek i nieustannie brakowało mu papieru. Pierwsze prace powstały na austriackich drukach urzędowych z lat dwudziestych. Wykorzystywał również zużyte zeszyty szkolne, opakowania po czekoladkach czy papierosach. Z owej biedy i spowodowanej nią oszczędności wzięły się między innymi obrazki malowane



Każdy obecnie zna markę YSL. Utworzył ją sam Yves Henri Donat Mathieu Saint Laurent. Urodzony we Francji chłopiec od najmłodszych lat czuł się osamotniony ze względu na swoje zainteresowania. Czuł, że odstaje od reszty rówieśników. Dzięki swemu uporowi stał się jednym z najbardziej sławnych projektantów na świecie. Gdy znany dziennikarz „Harpers Bazaar” zapytał mężczyznę, kiedy zaczął interesować się modą, odpowiedział: „Modą interesowałem się od kołyski”. Swoją kreatywność ukazywał od najmłodszych lat podczas zabaw z siostrami, albowiem młodzieniec uwielbiał bawić się z dziewczynkami w teatr.

### Droga po marzenia

Yves zaczynał od wycinania z brzości figurek, które następnie ubierał ścinkami materiałów. W wieku 6 lat miała miejsce pewna zadziwiająca historia, która ukazała prawdziwy geniusz chłopca. Wkradł on się do garderoby swojej matki i zabrał ze sobą parę sukienek wieczorowych. Nie byłoby nic w tym niezwykłego, gdyby nie fakt, że młody Yves pociął je na paski, a następnie zrobił z nich lalki. Swoją styl udoskonaliał dzięki gazetom, w których czytał recenzje pokazów. Te, które uważał za najciekawsze, wklejał do swojego albumu. Zainteresowanie chłopca modą było tak duże, że przebierał swoje siostry, które w efekcie końcowym wyglądały jak kobiety z pokazu mody. To właśnie spowodowało, że do tej pory mówimy o nim jako o osobie, która była: kreatywna, pomysłowa, zadziwiająca, nowatorka oraz pełna pomysłów. Paryż to miasto zakochanych, lecz przede wszystkim miasto mody. To właśnie spowodowało, że projektant postanowił odwiedzić to miejsce. Zakochany we Francji mężczyzna po paru miesiącach podjął decyzję by osiedlić się tam na stałe. Uczęszczał na zajęcia organizowane przez Krajową Izbę Krawiectwa. Był to przełomowy moment w jego karierze, ponieważ kreator mody został doceniony przez organizatorów. Brał udział również w licznych konkursach, w których odnosił sukcesy. Jego osiągnięcia nie pozostały bez odzewu. Zauważył go bowiem redaktor naczelny gazety „Vogue”, który postanowił przedstawić Yves’a Christianowi Diorowi.

### Sława, wojsko, represje, narkotyki

W życiu Saint Laurenta wszystko potoczyło się bardzo szybko. Z chłopca interesującego się modą stał się asystentem Diora. Historia wygląda jak z bajki. Wybitny projektant przyjmuje do swojej idealnej firmy młodego chłopaka z ambicjami. Aspiracje Yves’a uległy zmianie, zrozumiał on, że trzeba wymagać od siebie coraz więcej, że zawsze wszystko można zrobić lepiej. Zagłębiając się w świat mody zyskał tak wielkie uznanie, że jego mistrz wybrał właśnie jego jako swojego następcę. Po śmierci Diora presja była ogromna. Młody kreator mody jednak nie załamał się. Stworzył kolekcję doskonałą, przez co został okrzyknięty „królem krawiectwa”. Kolekcje projektanta były doskonałe w każdym calu, dopóki młody artysta nie połączył stylu męskiego z techniką couture, co zostało odebrane jako zbyt kontrowersyjne. Właśnie ten moment zakończył przygodę mężczyzny z marką Dior. Niestety, to co dobre, szybko się kończy. Pierwszy kryzys w pracy nie był jedyną złą rzeczą, która przytrafiła się projektantowi. Wojna francusko-algierska spowodowała wcielenie Laurenta do wojska. Mężczyzna był bardzo wrażliwą osobą, a ze względu na swoją orientację seksualną, był prześladowany w armii. Upokorzenia ze strony innych żołnierzy przyczyniły się do

# Yves Saint Laurent jako projektant wszechczasów



Każdy obecnie zna markę YSL

załamania nerwowego artysty. Jego stan psychiczny doprowadził do ciężkiej depresji, przez którą Yves trafił do szpitala. Na domiar złego w tamtych czasach homoseksualizm traktowany był jako choroba, którą leczono poprzez terapię elektrowstrząsową. Trwało to dwa miesiące, krótki okres w życiu człowieka, ale to właśnie ten czas wywarł ogromny wpływ na życie mężczyzny. Tortury, prześladowanie, elektrowstrząsy to nie wszystko. Z wywiadu z rodzicielką Yves’a dowiadujemy się, że miał on podawane narkotyki. Pozbawiono go wszystkiego łącznie z drzwiami do ubikacji. Mimo tych okropnych wydarzeń, Henri pozbiierał się jak tylko mógł, dzięki lekarzowi, który był również jego terapeutą. Każde wydarzenie w jego życiu wywarło ogromny wpływ na jego kolekcję.

### Wszystko dobre, co się dobrze kończy

Poznanie drugiej połowy jest wydarzeniem niezwykle ważnym w życiu każdej osoby. To dzięki niej czujemy się wyjątkowi oraz spełnieni. Szuka-

my kogoś, kto nas zrozumie i pomoże nam w trudnych chwilach. Yves Saint Laurent był niezwykle szczęściarzem, że poznał Pierre’a Bergé. Po odejściu z domu mody Dior, Henri wraz ze swoim ukochanym utworzył własną markę. Założyli salon couture pod nazwą Yves Saint Laurent. Kolejne kolekcje szokowały krytyków, lecz miały ogromne znaczenie w świecie mody. To właśnie dzięki temu mężczyźnie nagość przestała być tematem tabu. Złożyło się na to wiele czynników, takich jak równouprawnienie kobiet oraz chęć zerwania z konserwatyzmem. Manifestowanie swojej wolności oraz chęć prowokowania było celem projektanta, dlatego wcielał w życie swoje plany. Innowacyjnym pomysłem tego wybitnego kreatora mody było wprowadzenie męskich elementów do damskiej garderoby. Marynarki i spodnie noszone przez płęć żeńską były nowością. Każda kobieta chciała pokazać swoją niezależność nosząc właśnie takie ubrania. Ale nie tylko z ubrań znamy tego jakże wybitnego człowieka. Jego perfumy są popularne na całym świecie. Piękne zapachy kojarzą nam się z wolnością.

Kreatywność to proces twórczy, który ma na celu ciągle wymyślanie nowych pomysłów, idei oraz koncepcji. Yves Saint Laurent jest idealnym przykładem osoby kreatywnej. Jego pomysłowość wiąże się z chęcią dążenia do celu. Mężczyzna ten nie dość, że nie bał się przekraczać granic, to pokazywał nam jak ważne jest, żeby wierzyć w siebie, by motywować siebie samego i stawać się z dnia na dzień coraz lepszym człowiekiem. Zawsze miał pełno pomysłów i był o krok przed innymi twórcami trendów. Człowiek z tak wspaniałą historią stał się legendą w dziedzinie mody na arenie światowej. Mimo, że niestety już nigdy nie będziemy mogli się z nim spotkać i zobaczyć jego geniuszu, to dziękujemy za to, że był. Wybitnych jednostek nigdy nie zapomnimy. „Moda przemija, ale styl jest wieczny” - powiedział Henri. Uważam, że jego styl na zawsze pozostanie w naszych sercach i nigdy nie zapomnimy o jego twórczości.



## Piłkarski poker

W życiu człowieka tak naprawdę niewiele jest wartości i celów godnych najwyższego poświęcenia. Niewiele spraw potrafi tak doszczętnie wzruszyć najbardziej hardych duchem. Jest jednak jedna rzecz, równie pewna co śmierć i podatki, o której można powiedzieć, że przełamuje wszelkie bariery. To kwestia największej wagi i bezsprzeczny priorytet. Nie jest ważniejsze wyniesienie śmieci, wyprowadzenie psa na spacer czy ugotowanie obiadu. Nawet teściowie odchodzą przy niej na drugi plan. To kwestia najczystszej miłości, a co za tym idzie honoru, lojalności i uczciwości. To oczywiście piłka nożna. Taka jest przynajmniej dla swoich akolitów, czyli także Stanisława Pilawy.

Na pół godziny przed pierwszym gwizdkiem spotkania ligi okręgowej amatorów kategorii „wiek średni” w szatni nie szło już właściwie oddychać. Powietrze smakowało ciężkim metalem i takim też obciążeniem było dla płuc wysysających je zawodników. Gęste krople spływały po zmarszczonym czole kapitana drużyny, Stanisława Pilawy. Stanisław pełnił tę zaszczytną funkcję, chociaż nigdy nie był kluczowym graczem w zespole. Grający trener i prezes w jednej osobie, właściciel monopolowego Ksawery, zwyczajnie nie ufal nikomu innemu w zespole. A przynajmniej nie tak, jak swojemu najlepszemu przyjacielowi i klientowi.

Tym razem atmosfera była jednak wyjątkowa. Ostatnia kolejka rządzi się swoimi prawami. Co prawda klub złożony z sąsiadów i dawnych znajomych z osiedla Pilawy nie miał już szans na poprawę pozycji w tabeli, to jednak jego postawa w ostatnim meczu mogła zdecydować o losach mistrzostwa. Ta napięta sytuacja przekładała się na stan psychofizyczny trenera. Jego zwykle rumiana twarz stała się bezbarwna niczym popiół. Resztkę włosów na półłysym czerepie wyblakła już totalnie. Od 10 minut nie pozwalał nikomu opuścić szatni. Frekwencja ogólnie była niska, jeden z awizowanych piłkarzy się spóźnił, a Ksawery zamknął pozostałych pod kluczem, rzekomo,



żeby nikt inny nie spróbował się ulotnić. Rzekiwiście groził im walkower.

Do rozpoczęcia meczu zostało dwadzieścia minut. Spóźniony gracz wciąż nie pojawił się na obiekcie sportowym. To znaczy niewielkim orlikiem oddanym do użytku przy okazji ostatnich mistrzostw. Taki mały prezent dla lokalnej społeczności za wierno kibicowanie białoczerwonym krawatom i sumienne płacenie podatków. Uwięzieni piłkarze z drużyny Pilawy nie mogli obserwować swoich rywali, lecz oczami wyobraźni widzieli ich na sztucznej murawie boiska, kopiących między sobą w dużym rozrabianiu. Tych w szatni aż piekły stopy, żeby tylko wyjść i robić to samo. Tymczasem trener zakończył nerwową rozmowę przez telefon, po czym ogłosił zawodnikom, że pod żadnym pozorem nie mogą wyjść tego dnia na boisko.

„To dla dobra klubu” – podkreślił stanowczo.

Oburzeni piłkarze natychmiast zaczęli dopypywać o powody takiej decyzji. Sklepikarz Ksawery nie chciał jednak dodać ani słowa więcej. Odwrócił wzrok i zszyl otwór gębowy nicią z wąskich warg. Szatnie przejął nieufny szmer. Lepiej zorientowani wiedzieli, że właściciel monopolowego prowadzi interesy z prezesem topowego klubu ligi, którego poza sportowa działalność polega na hurtowej sprzedaży wędlin. Sprzedani za kielbasę? To godziło w piłkarski honor.

Ksawery pozostawał nieugięty. Wreszcie część zawodników postanowiła zwrócić się o pomoc do kapitana zespołu. Zachowanie wyjątkowo odważne, a nawet nieco naiwne, biorąc pod uwagę ich wiedzę o wieloletniej przyjaźni obu mężczyzn. Zgromadzeni w kącie ciasnej klitki zaczęli szeptać niewybredne słowa wprost do małżowiny Stanisława Pilawy. Bicie jego serca osiągnęło tempo wojskowego marszu. Nie jest żadną tajemnicą, że dusza

Stanisława w jednej chwili została rozdarta na dwie mniejsze. Trudno jednak wskazać, wbrew temu co widzimy w bajkach, która była elementem demonicznym, a która diabelskim. W każdym razie jedna z nich chciała grać fair, a przynajmniej w ogóle pokopać gałą. Kapitan udał się z trenerem na słówko.

Optymistyczne nastawienie Pilawy również szybko przygasło. Właściciel monopolowego od razu przeszedł do wyrzutów pod adresem kapitana. Zarzucił mu brak wsparcia oraz zdradę. Bliskim płaczu tonem zaczął wymieniać wszystkie koszty, jakie dobrowolnie i z miłości do futbolu musiał pokryć w związku z prowadzeniem zespołu. Faktycznie utrzymanie tak przeciętnego klubu nie przynosiło monopolowi żadnych zysków. Stanisław nie był tego świadomy. Ze zwieszonym czołem odstąpił od trenera. Na pytania kolegów odpowiedział wzruszeniem ramion. Tamci jedynie upewnili się w przekonaniu o stronniczości swojego kapitana.

Dziesięć minut przed pierwszym gwizdkiem rozległo się nieoczekiwane stukanie do drzwi. Szatnia zupełnie zamilkła. Za chwilę ktoś z zewnątrz zaczął szarpać za klamkę. Potem jeszcze kilka razy opukał pięścią zamknięte drzwi. W końcu odezwało się zza nich dwóch spóźnionych graczy. Przebywająca w środku drużyna przetoczyła się z rykiem euforii w kierunku wyjścia. Ale pierwszy dopadł do nich Ksawery.

„Nie możecie! Musimy oddać to spotkanie!” – jęczał nieprzytomnie. Ale tamci nie chcieli słuchać. Rozgorzała bitwa.

Gdyby zapytać Stanisława Pilawę, po której stronie konfliktu zamierza stanąć, najchętniej przyjąłby doskonale sprawdzającą się w przypadku Szwajcarii zasadę neutralności. Zespół, w którym występował, także ze względu na umiejętności, preferował niestety angielską piłkę. Koledzy z boiska zaczęli w sposób nie-

przepisowy okładać Pilawę korkami lub łokciami. Torturowany w parnej szatni mógł pokusić się jedynie o prostą filozoficzną dedukcję. Czy nie powinien sprzeciwić się trenerowi? Podążyć za głosem serca i duchem sportowej rywalizacji. A może wręcz przeciwnie, niczym prawdziwy kapitan, cierpiał teraz za wszelkie boiskowe przewiny, by odkupić każdą złotówkę zadłużenia klubowej kasy? Niczym bohater starogreckiej tragedii bezsilnie oddał się w kolczaste ramiona losu.

Do rozpoczęcia spotkania pozostało pięć minut. Wewnątrz szatni pozostało tylko ich dwóch. Związani sznurówkami ze starych trampków siedzieli naprzeciwko siebie. Umęczony trener spoglądał na przyjaciela przez czerwone strugi spływające z pokaleczonego czoła. Zaczęła się spowiedź. Ksawery wyjaśniał, jakie oferty i za ile zdążył otrzymać przed dzisiejszym spotkaniem. Początkowo mieli zagrać, a nawet wygrać, po голу strzelonym przez Stanisława z karnego. Potem jakieś zbiry miały grozić handlarzowi śmiercią, jeśli nie zgodzi się na zaproponowany przez rywali remis. Ktoś inny domagał się wygranej z czterobramkową przewagą. Ale to byłoby już zbyt podejrzane. Ostatecznie najbardziej oplacalna okazała się więc kielbasa.

Stanisław łagodnie przytakiwał. W gruncie rzeczy w ogóle nie zgadzał się z Ksawerym. W tym momencie chciałby po prostu wyjść na boisko i móc kopnąć piłkę. I wtedy nagle ktoś wszedł do środka szatni. To opiekun orlika poszukujący zaginionej torby treningowej po grupie wcześniej wynajmującej boisko. Natychmiast rozwiązał spętanych mężczyzn. Podpiejąc się wzajemnie, popędzili na zewnątrz.

Mecz właśnie powinien się rozpocząć. Ale sędzia nie wpuścił oddechu do gwizdka. Rywal drużyny Stanisława Pilawy i właściciela monopolu nie stanął się na murawie. W ostatniej chwili cały zespół przeciwnika zgodnie postanowił o zamknięciu się w szatni. To oznaczało zwycięstwo przez walkower. Ksawery z cichym jękiem osunął się na kolana. Tę partię pokera wygrał ktoś inny.

Krzysztof Polasik  
krzpol1@st.amu.edu.pl

Pan X to była gruba ryba.

Wszystko dlatego, że jako jeden z nielicznych w miasteczku, nie skarżył się na problemy z apetytem. Wyciągał chętnie pomocną dłoń do tych, co nie mieli tyle szczęścia. Ludzie zaczęli jeść mu z ręki i przestawali być niejadkami.

X był właścicielem fabryki produkującej suplementy diety wspomagające apetyt. Prawdziwy kokosowy interes. Zył dzięki niemu jak pączek w maśle. Wpływowa pozycja. Nic dziwnego, że woda sodowa uderzyła mu do głowy – w końcu uzależnić od siebie całą społeczność lokalną to nie lada wyczyn. Do szczęścia brakowało mu jedynie ptasiego mleka.

Człowiek nie wielbłąd – pić musi. Jeść również musi. Kiedyś dla wielu mieszkańców wciskanie na siłę w siebie kawałeczków pożywienia było utrapieniem. Jednak po zażyciu suplementu diety, spożywanie przestaje być przymusem, mechaniczną czynnością, lecz staje się doznaniem. Aż chce się smakować świat.

Ta bajka dalej by tak trwała, gdyby pewien mężczyzna nie narobił bigosu. X miał przez niego twarde orzechy do zgryzienia.

Konkurent nazywał się Y i z wielką przyjemnością patrzył, jak jego autorski produkt

## Słona cena

stopniowo wypiera z rynku suplementy. Ludzie mieli już dość polykania tabletek przed posiłkiem. Bardziej spodobało im się używanie specjalnej przyprawy, która nadawała potrawom lepszy smak. W ten sposób konsumenci byli w stanie zjadać większe porcje. Konia z kopytami by zjedli. Lokalni sprzedawcy nie posiadali się z radości i chętnie

**Obaj nie pozwalali dmuchać sobie w kaszę. Jednak oboje byli przyczajonymi tygrysami i postanowili nie wyklądać od razu kawy na ławę. X herbaty również nie wyłożył, bo na początek podał zupę grzybową w asyście ciężkiego kawałka chleba. Panowie zjedli posiłek bez wspomagaczy. Y naprawdę smakowało, albo był świetnym aktorem. Podziękował i szykował się na kolejne dania.**

umieszczali na swoich straganikach reklamy przyprawy autorstwa Y. Interes kwitł.

X siedział u siebie i czytał raporty. Pod nosem rzucał mięsem – w końcu nie był wegetarianinem. Nie mógł pojąć, jak świeżo upieczony przedsiębiorca jest w stanie wygrzyść jego – kogoś, kto przecież zjadł na tym zęby. Coś mu śmierdziało. X najchętniej utopiłby

Y w łyżce wody, jednak postanowił zaprosić go na obiad w celu wyciągnięcia informacji. Plan był następujący – wycisnąć konkurenta, jak cytrynę, wypić wszystkie soki, a skórkę najlepiej zetrzeć na tarce i dodać do ciasta.

Y nigdy nie pił do lustra. Prowadził bogate życie towarzyskie. Ostatnimi czasy żaden bankiet nie mógł odbyć się bez niego. Nie

dość, że zawsze dostarczał gospodarzom darmowej przyprawy swojego autorstwa, to do tego nie był nudny, jak flaki z olejem. Człowiek obyty, światowy, z którym można pogadać na wiele tematów. X wypadał przy nim jak ciepłe kluchy.

Mimo to Y przyjął zaproszenie na obiad. Właśnie zmierzał do siedziby konkurenta.

Kiszki mu marsza grały, stąd jego chód był rytmiczny. Miał w kieszeni ukryty woreczek z przyprawą. Planował ni z gruszki, ni z pietruszki dosypać jej do talerza X. Tym samym, dostarczyć kubkom smakowym konkurenta nowych doznań i uzależnić od swojego produktu. Liczył, że pójdzie mu to, jak po maśle.

Obaj nie pozwalali dmuchać sobie w kaszę. Jednak oboje byli przyczajonymi tygrysami i postanowili nie wyklądać od razu kawy na ławę. X herbaty również nie wyłożył, bo na początek podał zupę grzybową w asyście ciężkiego kawałka chleba. Panowie zjedli posiłek bez wspomagaczy. Y naprawdę smakowało, albo był świetnym aktorem. Podziękował i szykował się na kolejne dania.

X zaczął z innej beczki i wyjął z niej śledzie. Podał do tego świeże ziemniaczki z masłem posypane koperkiem. Mimo, że gospodarz był amatorem kwaśnych jabłek, to do picia przygotował kompocik z malin.

– Wpuszczę go zaraz w maliny – pomyślał X rozpuszczając w napoju suplement diety wspomagający apetyt.

Faktycznie, Y wpadł jak śliwka w kompot i przelał, a następnie wypił ten kielich goryczy. Jednak sam gospodarz nie wiedział, gdzie stoją konfitury i wpadł w pułapkę konkurenta.

Nastąpiła cisza, jak makiem zasiał. Po takim obiedzie pozostała tylko musztarda. Obaj siedzieli i trawili. Próbowali zrozumieć nie



Chcąc zagłębić się w świat intrygi i kłamstwa polecam książkę „Ktokolwiek widział”. Jeśli sądzisz, że znasz swoich znajomych, a wasze kłamstwa i tajemnice nigdy nie wyjdą na jaw, to z pewnością musisz zagłębić się w historię dwóch przyjaciółek, które od dziecka są ze sobą nierozłączne. Co musi się stać, by prawda wyszła na światło dzienne po wielu latach od wielkiej tragedii? Czy lojalność w stosunku do najbliższej osoby spoza rodziny, powinna obowiązywać również po śmierci jednej z nich? Książka autorstwa Claire Douglas należy do thrillerów, które szybko dołączyły do grona bestsellerów.

### Droga do sukcesu usłana problemami

Na początku lektury zagłębiamy się w aktualne życie Frankie Howe. Możemy rzec, że stała się ona kobietą sukcesu. Wychowana w bogatej i szanowanej rodzinie, nie spoczęła na laurach i mimo wydarzeń z przeszłości skupiła się na pracy. Jej życie uczuciowe natomiast nie należy do udanego. Zdrady męża oraz starania o dziecko tylko potęgowały jej chęć sukcesu w branży. Fabuła z kolei przeplatana jest retrospekcjami z życia jej przyjaciółki - Sophie. Już podczas czytania pierwszych stron dowiadujemy się o nierozwikłanej sprawie jej śmierci. Jest ona na tyle tajemnicza, że nadal spędza sen z powiek jej bratu. Nie może jednak zostać rozwiązana, gdyż ciała dziewczyny nigdy nie odnaleziono. To właśnie ten aspekt historii staje się punktem dla rozpoczęcia tragicznego w skutkach poszukiwania prawdy.

### Powrót do przeszłości

Niczego nieświadoma Frankie wplątana zostaje w intrygę zaplanowaną przez jej bliskich z przeszłości. Albowiem kobieta po wielu latach od przeprowadzki wraca do miasta, w którym dorastała. Jest nim Oldcliffe. Z początku jes-

## „Ktokolwiek widział”, czyli wstąpienie do świata intrygi



teśmy przekonani, że tragedia, jaka spotkała jej przyjaciółkę, nie była przypadkowa. Podświadomie również wiemy, że nic nie jest takie, jakie nam się wydaje. A osoby, które z pozoru są naszymi sprzymierzeńcami, w każdej chwili mogą obrócić się przeciwko nam. Kobieta po powrocie zaczyna popadać w obłęd. Niewątpliwie komuś zaczyna przeszkadzać obecność

główniej bohaterki i ten ktoś robi wszystko, by zamienić jej pobyt w koszmar.

### Tajemnica, która powinna łączyć, a dzieliła

W trakcie czytania dowiadujemy się o tajemnicy, którą ukrywały przed światem dziewczyny. Mimo swojego młodego wieku, przeżyły

sytuację, która nie powinna nigdy się zdarzyć. W tym momencie, wraz z rozpoczęciem się nowego rozdziału, gdyż tak musimy nazwać sytuację nastolatek, zaczęły się wzajemne podejrzania. Niektóre sytuacje dziejące się w życiu nie sprawiają, że jesteśmy bliżej drugiej osoby i choć chcemy być bliżej niej, możemy się tylko oddalić, by zapomnieć i spróbować prowadzić normalne życie.

Chcąc, by wszystko wróciło do normalności zatracamy się w życiu, które nie może być budowane na zaufaniu. Boimy się, że bolesna prawda wyjdzie na jaw i zostaniemy potępieni przez społeczeństwo. A przecież w małym nadmorskim miasteczku wiadomości oraz plotki bardzo szybko się rozchodzą. W takim wypadku jesteśmy zdolni do wszystkiego.

Książka zawiera wiele tajemnic, które sprawiają, że w napięciu czekamy na ich rozwiązanie, co przekłada się na tempo czytania. I choć starałam się nie zakończyć historii w jeden wieczór, to w praktyce okazało się to niemożliwe. Niezwykle przemyślana fabuła, budowanie napięcia oraz tajemniczości od początku powoduje, że nie jesteśmy w stanie domyślić się zakończenia. Ono z kolei jest zaskakujące pod każdym względem. Mam tutaj na myśli nie tylko rozwiązanie tajemniczej śmierci Sophie, lecz również aktualnych perypetii bohaterów.

Dzięki tej książce możemy zyskać nowy punkt widzenia świata. Uświadomić sobie wartość prawdziwej przyjaźni i również zacząć zwracać uwagę na osoby, które niekoniecznie są według nas szczerze i prawdziwe. A postacie, które uważamy za autorytety, w każdym momencie mogą stać się dla nas wrogami. W powieści nie brakuje zwrotów akcji. Nieczęsto zdarza się, by podczas lektury pojawiało się we mnie tyle emocji. Niepokój, lęk, współczucie, nadzieja, przeważały podczas 400 stron fantastycznej historii.

**Karolina KOZŁOWSKA**  
karkoz10@st.amu.edu.pl

tylko zaistniałą sytuację, ale również nowy smak. Siedzieli tak i patrzyli na siebie. Najchętniej jeden zbilby drugiego na kwaśne jabłko. Ale woleli mileżeć. W tej ciszy było coś specyficznego, jakby forma respektu dla przeciwnika. Zrozumienie, dlaczego towar tego, co na mnie spogląda, odniósł taki sukces. Wniosek u obu nasunął się ten sam: muszę ulepszyć swoją recepturę.

Wtedy dopiero rozpoczęła się wojna. Czy to oznaczało, że wszystkie chwytaki dozwolone? X i Y stawali na uszach, aby dogodzić podniebieniu swoich klientów. Prowadzili badania. Konsultacje ze specjalistami. Testowali nowe formuły. Wprowadzili szereg ulepszeń. Konsumentom nie pozostawało nic innego, jak lizać palce oraz talerze po posiłku. X i Y szli łeb w łeb. Jednak nie znali umiaru i posunęli się za daleko...

Jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się skargi od mieszkańców. Wielu z nich się rozchorowało po regularnym stosowaniu suplementów diety oraz specjalnej przyprawy. Firmy X i Y splajtowały, gdy wyszło na jaw, że w fabrykach dodawane były nielegalne substancje, które w dużych ilościach zagrażają życiu i zdrowiu. Jednak na etykietach nie było o tym wzmianki. Niezadowolone społeczeństwo rosło jak na drożdżach. X i Y musieli uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Obaj dolewali oliwy do ognia, jednak ona sprawiedliwa, zawsze na wierzchu wypływa.

**Milena GUZIK**  
milguz@st.amu.edu.pl



„Nie dość, że zawsze dostarczał gospodarzom darmowej przyprawy swojego autorstwa, to do tego nie był nudny, jak flaki z olejem” – fragment opowiadania



24 maja Bob Dylan skończył 80 lat. Ten wyjątkowy artysta, muzyk i utalentowany tekściarz wciąż zaskakuje i pomimo tak wielu wiosen na karku w dalszym ciągu tworzy nową muzykę.

### 80 urodziny wyjątkowego muzyka

Bob Dylan to bez wątpienia artysta, którego wstyd nie znać. Amerykański muzyk słynący z tworzenia złożonych i wieloznacznych tekstów oraz czerpiący inspirację z różnych źródeł przeszedł długą drogę od mało znanego twórcy folkowego po gwiazdę światowego formatu. Dylan w zasadzie może w swojej muzyce zrobić wszystko, a nie musi nic. Świadczyć może o tym wydany rok temu album „Rough and Rowdy Ways”, w którym słychać wpływy bluesowe. Z okazji rocznicy urodzin tego muzyka warto opowiedzieć nieco więcej o jego przeszłości.

### Wczesne lata Dylana

Bob urodził się 24 maja 1941 roku w Duluth w stanie Minnesota w rodzinie żydowskich emigrantów z terenów należących wówczas do Rosji (obecna Litwa i Ukraina) pod nazwiskiem Robert Allen Zimmerman (stąd też wziął się popularny wśród fanów przydomek muzyka Zimmy). O samym dzieciństwie przyszłej gwiazdy niewiele wiadomo, sam Bob niechętnie bowiem mówi o jakiegokolwiek przeszłości. Wiadomo jednak, że w szkole średniej założył kilka zespołów, a podczas jednego z występów dyrektor szkoły, do której uczęszczał Bob, zdecydował wyłączyć go z gry, ze względu na zbyt głośną grę. Jednak przełomowy okazał się rok 1959. Wtedy to Bob zdecydował się rzucić naukę na uniwersytecie i przyjął pseudonim, który wkrótce stał się jego nazwiskiem urzędowym – Bob Dylan. Oprócz tego przerzucił się także na muzykę folkową. Już po przemianie w Boba Dylana zaczął występować jako gitarzysta w obwoźnym zespole muzycznym, a także w roli muzyka sesyjnego. Dzięki temu zwrócił na siebie uwagę Johna Hammonda z Columbia Records, który zauważył Dylana podczas jednego z występów w Nowym Jorku w 1961 roku.

### Od głosu pokolenia po elektryczną woltę

Lata 60. miały okazać się jednymi z najlepszymi lat w karierze Dylana, mimo kiepskiego początku. Debiutancki album „Bob Dylan” zawierający muzyczne standardy słabo się sprzedawał i niemal doprowadził do utraty kontraktu z Columbia Records. Z pomocą Dylanowi przybył jednak Johnny Cash, który zasugerował szefostwu wytwórni danie młodemu muzykowi drugiej szansy. Ta została wykorzystana do cna i dała Dylanowi nieoczekiwanie łatką głosu pokolenia. Albumy „The Freewheelin’ Bob Dylan” oraz „The Times They Are A-Changing” zawierały nie tylko folkowe ballady, ale również silnie protest songi korespondujące z poglądami Dylana oraz młodego pokolenia,

# Bard po osiemdziesiątce. Bob Dylan skończył 80 lat



Bob Dylan u szczytu kariery w 1966 roku

sprzeciwiającego się wojnie oraz rasizmowi i niesprawiedliwości społecznej. Jednak sam Bob nie identyfikował się z przypisywaną mu rolą. Wydany w 1964 album „Another Side Of Bob Dylan” był zwrotem ku bardziej mainstreamowej muzyce. Dopelnienie zmian w wizerunku znalazło się w wydanych w 1965 roku albumach „Bringing It All Back Home” oraz „Highway 61 Revisited”. Z tych albumów wywodzą się najbardziej znane piosenki Dylana takie jak „Mr. Tambourine Man”, „Like a Rolling Stone” czy „Desolation Row”. Nowy Dylan odznaczał się bardziej metaforycznymi tekstami oraz powrotem do rockowego brzmienia. Gra na gitarze elektrycznej wywołała wściekłość bardziej folkowych fanów Dylana, którzy zaczęli bucieć na muzyka podczas jego występów, dodatkowo część z nich zaczęła nazywać Boba „Judaszem”. On sam nie pozostawał im dłużny, grał najgłośniej jak się dało i napisał dedykowaną im sarkastyczną piosenkę „Positively 4th Street”, w której zarzucał im, że „mają tupet, by nazywać się jego przyjaciółmi”. Sam Bob robił swoje i wydana w 1966 roku płyta „Blonde on Blonde” poświęcona była

niemal w całości relacjom Dylana z kobietami. Po tym Dylan wydał kilka albumów, które nie zostały aż tak dobrze przyjęte.

### Lata 70.

Do dobrej formy Bob wrócił w latach 70. wydając albumy „Blood on the Tracks” oraz „Desire”. Albumy te zawierały takie piosenki jak „Tangled Up In Blue”, „Idiot Wind”, „One More Cup of Coffee” czy „Hurricane”. Oprócz tego, lata 70. przyniosły także takie albumy jak „New Morning” czy wydany wspólnie z zespołem The Band „Planet Waves”, z którego pochodzi utwór „Forever Young”, będący jednym z najbardziej osobistych utworów Dylana, będący swojego rodzaju kołysanką oraz modlitwą za syna – Jessego. Dekada ta również przyniosła trasę koncertową „Rolling Thunder Revue”, przez niektórych uznawaną za najlepszą w jego karierze.

### Dalsze lata

Późniejsze lata w karierze Dylana upłynęły pod znakiem zmiennej formy artysty, niektóre albumy były całkiem niezłe, inne były słabe. Dodatkowo głos Boba stał się bardzo ochrypnięty, przez co nasiliły się żarty z artysty (Bob Dylan nigdy nie słynął z jakoś bardzo ładnego głosu, dodatkowo podczas występów sam często śpiewał nosowym głosem, próbując naśladować swoich idoli). Jednak mimo to, artysta koncertował oraz angażował się w różne projekty artystyczne, jak chociażby zespół Traveling Wilburys, współtworzony m.in. przez Toma Petty’ego, George’a Harrisona (The Beatles) czy Jeffa Lynne’a (Electric Light Orchestra). Oprócz tego zaczął malować oraz otrzymał kilka nagród, w tym Oscara za piosenkę „Things Have Changed” z filmu „Cudowni chłopcy” oraz Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, który wywołała olbrzymie kontrowersje, ze względu nie tylko sam fakt otrzymania jej przez muzyka, ale również niechętny stosunek samego zainteresowanego do nagrody, który jak się przez pewien czas wydawało może nie przyjąć nagrody.

Bob Dylan pomimo 80 lat wciąż pozostaje jednym z najważniejszych i najbardziej inspirujących muzyków w historii. Jego metaforyczny styl pisarski oraz eklektyczny styl tworzenia muzyki od rocka po bluesa oraz americanę i muzykę chrześcijańską sprawiają, że każdy w jego piosenkach znajdzie coś dla siebie.

Bartosz Kabaciński  
Barkab1@st.amu.edu.pl

## Wszystkie drogi prowadzą do szpitala. Recenzja serialu „New Amsterdam”

Tradycja seriali medycznych sięga już lat powojennych. Od początku tego typu produkcje cieszyły się szczególnym zainteresowaniem wśród mieszkańców Wysp Brytyjskich. Czy wszystkie pomysły na to, jak w ciekawy, zaskakujący i pełen zwrotów akcji sposób przedstawić losy pracowników szpitali zostały już wyczerpane? Amerykańska sieć telewizyjna NBC udowadnia, że nic bardziej mylnego. Czy zatem kultowy już Dr House może obawiać się konkurencji Maxa Goodwina – nowego ordynatora szpitala New Amsterdam?

Amerykański serial telewizyjny wyprodukowany przez Universal Television, Pico Creek Productions oraz Mount Moriah, jest adaptacją Twelve Patients: Life and Death at Bellevue Hospital autorstwa Erica Manheimera. Serial po raz pierwszy został wyemitowany 25 września 2018 roku przez NBC i niemalże od razu podbił serca widzów. W pierwszych kilkunastu minutach seansu odbiorcę zaskakuje szybkość prezentacji postaci, kolejne wątki i sprawy do rozwiązania przewijające się z niesamowitym dynamizmem. Wraz z następnymi odcinkami tempo serialu nieco opada, śmiało można stwierdzić, że staje się on bardziej intymny, szczególnie, gdy przytoczone zostają życiowe historie lekarzy.

### „Jak mogę pomóc?” Fenomen nowojorskiego szpitala

Fabula serialu skupia się na dr Maxie Goodwinie (Ryan Eggold), dyrektorze medycznym, któremu zależy, aby szpitalowi przywrócić dawną świetność. Najczęściej wypowiedziane przez niego zdanie brzmi „Jak mogę pomóc?” (ang. How can I help?). Piastujący nowy urząd mężczyzna już od pierwszych dni swojej rezydentury wprowadza wielkie zmiany, między innymi zwalnia cały oddział chirurgii. Co ciekawe, robi to na tyle szybko, iż zgromadzeni na sali dostojni lekarze nie zdążyli nawet usiąść wygodnie i zagrać sobie miejsca w komfortowych fotelach. To jednak nie koniec! Celem nowego dyrektora medycznego jest stworzenie miejsca, które nie tylko jest w stanie, a przede wszystkim CHCE pomóc każdemu, kto o pomoc poprosi. W miarę upływu czasu (oglądania kolejnych odcinków) jesteśmy świadkami całkowitej rewolucji nowojorskiego szpitala. Co więcej, poznajemy także pracowników placówki – głównie lekarzy odpowiadających za poszczególne oddziały. Ich historie przedstawione są w na wskroś rzeczywisty sposób. Skład kadry szpitala zestawiony jest na zasadzie przeciwieństw, które w połączeniu ze sobą tworzą zgraną drużynę. Każdy lekarz to jednak tylko człowiek, który zmagą się z nałogami, demonami przeszłości czy samotnością. Producenci mimo wszystko nie zapominają o pokazaniu, iż droga do sukcesu, zdrowia czy szczęścia niejednokrotnie wymaga tytanicznej pracy nad samym sobą. Fenomen popularności serialu „New Amsterdam” leży zatem nie tylko w nadziei, że obok nas ciągle są jeszcze medycy, którzy kochają to, co robią i są w stanie poświęcić naprawdę wiele dla poprawy zdrowia innych, ale przede

wszystkim w tym, iż serial pokazuje, że chce to móc. Wystarczy zacząć.

### Pandemia w New Amsterdam

Jak dotąd polscy widzowie doczekali się dwóch sezonów serialu o lekarzach z Nowego Jorku. W ostatnim odcinku drugiej serii głos zabrał Ryan Eggold i poinformował odbiorców o tym, iż następną historię z murów szpitala New Amsterdam będą ukazywały sytuację pandemiczną wywołaną wirusem SARS-CoV-2. Wprawdzie trzeci sezon serialu w Polsce nie jest jeszcze dostępny, ale pełną parą ruszył on w Ameryce, gdzie emitowany jest na kanale NBC. Amerykanie są już po czwartym jego odcinku. W obsadzie trzeciego sezonu spotkamy się ponownie z doktorem Reynoldsem, granym przez Jacko Simsa, dr Helen Sharpe, w którą wcieliła się Freema Agyeman, z doktor Lauren Bloom, którą gra Janet Montgomery. Będziemy także śledzić dalsze losy Iggy’ego Fromme’a – w tej roli Tyler Labine. Z obsady odszedł Anupam Kher, który wcielił się w postać doktora Vijay’a Kapoora, neurologa. Na dzień dzisiejszy nie wiadomo, kiedy w Polsce będziemy mogli poznać losy szpitala pod przewodnictwem Maxa Goodwina. Brak ogólnowiatowej emisji związany jest z tematyką serialu, a konkretnie tego sezonu, którą twórcy, ze względu na panującą sytuację, uznali za niestosowną. Jedno jest pewne. Rzesze Polaków wychowanych na „Ostrym dyżurze”, „Chirurgach”, a także „Na dobre i na złe” z pewnością nie przegapią premiery trzeciego sezonu serialu „New Amsterdam” i ponownie wywindeje on na szczytową pozycję propozycji Netflixu.

Emilia SZKOBODZIŃSKA  
emiszk1@st.amu.edu.pl